

ЭМИЛЬ ЗОЛЯ

FETA W

COQUEVILLE

Emil Zola

Feta w Coqueville

«Public Domain»

Zola E.

Feta w Coqueville / E. Zola — «Public Domain»,

W Coqueville, małej rybackiej wiosce, żyją dwa zwaśnione rody. Mahéowie i Floche'owie nie cierpią się od wieków, a ostatnimi „neutralnymi” w wiosce — nieopowiadającymi się ani za jednymi, ani za drugimi — wydają się proboszcz i strażnik polowy. Młodzieniec z rodu Mahéów, łobuz i zawadiaka, zakochuje się w Margot, dziewczynie Floche'ów. Wydaje się, że nie ma szans ani na rozwinięcie tej miłości, ani na jakąkolwiek zgodę między skłóconymi. Do czasu, gdy Mahéowie wyruszają na łowy, ale zamiast ryb przywożą beczki z tajemniczymi trunkami. Feta w Coqueville to nowela autorstwa Emila Zoli, jednego z najwybitniejszych francuskich autorów francuskich drugiej połowy XIX wieku. Uznawany za najważniejszego prekursora naturalizmu w literaturze. Znany przede wszystkim z powieści takich jak Nana czy Germinal, tym razem w Fecie w Coqueville w humorystyczny sposób ukazuje codzienność wieśniaków oraz różne skutki nadużywania alkoholu.

© Zola E.

© Public Domain

Содержание

I	5
II	9
Конец ознакомительного фрагмента.	10

Emil Zola

Feta w Coqueville

I

Coqueville jest to mała wioska rybacka, wciśnięta w rozpadlinę skał nadmorskich o dwie mile od Grandportu. Piękne wybrzeże piaszczyste ścięło się tam u stóp domostw przyczepionych do skalistego zbocza, niby muszle, które zostawił odpływ. Wstępując na wyżyny Grandportu, ku lewej, rozróżnić można całkiem dokładnie na zachodzie żółtą płachtę nadbrzeżnych piasków, podobną do fali złocistego pyłu, sypiącego się w morze z rozdziawionej szczeliny skał, a dobre oczy potrafią nawet rozróżnić domy, których rdzawy odcień pstrzy skałę rudymi kleksami, niebieskawe zaś smugi dymu wiją się aż po sam szczytowy grzebień olbrzymiego wału, rozgradzającego ziemię od nieba.

Zapadły to ką. Coqueville nie zdołało nigdy przekroczyć cyfry 200 mieszkańców. Roztwarzająca się na morze gardziel, w której progach usadowiła się wioska, wrzyna się ku tyłowi w ziemię w tak gzygzakowatych skrętach i takie strome ma dno, że wozem prawie nie podobna tędy przejechać. Uniemożliwia to wszelką komunikację i tak odosabia miejscowość, że jej mieszkańcy żyją jakby się znajdowali o sto mil od sąsiednich wiosek. Toteż ludność nie znosi się z Grandportem inaczej jak tylko drogą wodną. Sami prawie rybacy, żyjący z oceanu, zawożą oni tam codziennie w barkach plon połowu. Wielka firma, handlująca rybami, dom Dufeu, zakupuje ten towar ryczałtem. Stary Dufeu nie żyje już wprawdzie od lat kilku, lecz wdowa po nim prowadzi dalej interes, przyjąwszy w tym celu urzędnika, pana Mouchel, blondyna sążnistego wzrostu, którego obowiązkiem jest przemierzać peryodycznie wybrzeże i zawierać umowy z rybakami. Ów to pan Mouchel jest jedynym łącznikiem pomiędzy wioską Coqueville a światem cywilizowanym.

Coqueville wartoby było swego dziejopisa. Zdaje się rzeczą pewną, iż w zamierzchłych czasach wieś założoną została przez rodzinę Mahé, która osiadłszy tutaj, rozrodziła się potężnie u podnóża skał. Tym Mahéom musiało się z początku nienajgorzej wieść, przyczem żenili się ciągle sami między sobą, przez całe wieki bowiem spotyka się tutaj samych tylko Mahéów. Znacznie później dopiero, za czasów Ludwika XIII, pojawia się niejaki Floche. Nie wiedzieć, skąd się właściwie wziął. Poślubił on wkrótce jedną z Mahéównych i od tej to chwili datuje się ciekawy objaw: Flocheowie teraz stali się wybrańcami fortuny i tak się z czasem rozmnożyli, że zaczęli pochłaniać Mahéów, których liczba malała a posiadłości przechodziły w ręce przybyszów. Nie ulega kwestyi, że Flocheowie wnieśli w osobie swego protoplasty świeżą krew, mocniejsze organa, temperament lepiej się nadający do tego twardego środowiska potężnych wichrów i morza bez granic. Na każdy sposób są oni dzisiaj w Coqueville panami placu.

Łatwo pojąć, że to przesunięcie się większości liczebnej i majątków na stronę przybyszów nie mogło się odbyć bez wstrząśnień straszliwych. Mahéowie i Floche'owie nie cierpieli się. Między obu rodami płonąła nienawiść wieków. Pomimo swej klęski wszakże Mahéowie zachowują dumę dawnych zdobywców. Bądź co bądź oni to założyli gniazdo, ich ród jest rodem praprzodków ludności. O pierwszym Floche'u wyrażają się z pogardą, jak o żebraku, włóczykiju, przygarniętym z litości, a oddanie mu w małżeństwo jednej z swoich cór traktują jako błąd nie do odwołania po wiek wieków. Ów Floche zostawił był po sobie, według ich zdania, potomstwo, złożone z samych lubieżników i złodziei, spędzających nocę na rozpuście a dzień na przepijaniu sched. Nie było kłątwy, jakiejby nie miotali na potężne plemię Flocheów, przejęci ku nim jadovitą wściekłością szlachty, zdziętkowanej przez zgony i podupadłej, która patrzeć musi bezsilnie na rozrost burżuazji, w ich oczach zagarniającej ich posiadłości, ich krwawicę. Naturalna rzecz, Flocheowie ze swej strony wyzyskiwali swój tryumf z całą bezwzględnością. Czując się panami placu, drwili ile wzięło z przeciwników i przysięgali przepędzić ich z wioski, jeżeli nie ugną karku. Są to w ich oczach

głodomory, co zamiast się drapować w swoje starożytne łachmany, lepiejby zrobiły, zabrawszy się do ich polatania. Tym sposobem Coqueville zdaniem jest na pastwę dwu wrogich frakcji: stu trzydziestu mieszkańców z jednej strony, gotowych pożreć z kośćcami pięćdziesięciu pozostałych pod tym jedynie pretekstem, że są od nich silniejsi. Wojny wielkich mocarstw nie mają innej historii.

W szeregu waśni, jakie ostatnimi czasy wzburzały Coqueville, wymieniają w pierwszym rzędzie słynną nienawiść pomiędzy braćmi Fouasse i Tupain oraz głośnie batalie małżeństwa Rougetów. Trzeba wiedzieć, że każdy z mieszkańców otrzymywał tu niegdyś przydomek, który stawał się z czasem prawdziwym nazwiskiem rodziny, inaczej bowiem niepodobnaby się było rozeznąć w mnóstwie krzyżujących się latorośli Mahéów i Flocheów. Rouget zatem musiał mieć prawdopodobnie pośród swych praszczurów jakiegoś płomiennowłosego rudźca, co do Fouassea i Tupaina zaś, zwali się tak Bóg jeden wie z jakiej przyczyny, albowiem wiele przydomków zatraciło z czasem doszczętnie pierwotny swój sens. Stara Franciszka, 80-letnia heród-baba, żyjąca po dziś dzień, miała być rzeczono Fouassea z jednym z Mahéów; następnie, owdowiawszy, poszła za męża po raz wtóry za Floche'a, któremu powiła Tupaina. Stąd nienawiść obu przyrodnich braci, tem większa, że na dobitkę kwestye spadkowe podsycaly waśń. U Rouget'ów młócono się wzajemnie jak zboże na klepisku, ponieważ Rouget zarzucał swej żonie Maryi, że łamie mu wiarę małżeńską z jednym z Floche'ów, sążnistym Brisemottem, czarnowłosym siłaczem, na którego porwał się już był z nożem dwukrotnie, grożąc, że mu rozpląta brzuch. Rouget, mały, nerwowy człeczyna, okropnie był zapalczywy.

Rzeczą jednak najmocniej w danej epoce Coqueville roznamiętniającą nie były ani wybuchy Rougeta, ani spór Tupaina z Fouassem. Oto gruchnęła nagle wieść, że Delfin, jeden z Mahéaków, dwudziestoletni łobuz jakich mało, śmiał się zakochać w pięknej Margot, córce La Queuea, najbogatszego z Flocheów, przytem wójta gminy. Ów La Queue był w samej rzeczy wybitną osobistością. Zwano go La Queue, ponieważ ojciec jego, pod Ludwikiem Filipem, ostatni nosił włosy w splotach, z uporem starca, wiernego do grobowej deski modzie z czasów młodości. Wójt La Queue był właścicielem jednej z dwóch największych łodzi rybackich w Coqueville „Zefir” – lekkiej jak mały, zupełnie nowej i bardzo mocno zbudowanej. Druga duża łódź „Wieloryb”, napół zgniłe pudło, należała do Rougeta, u którego służyli za majtków Delfin i Fouasse, podczas kiedy majtkami La Queue'a byli Tupain i Brisemotte. Ci ostatni, niewyczerpani w drwinkach z „Wieloryba”, nazywali go starym chodakiem i wróżyli, że rozlezie się na wodzie pewnego pięknego poranku jak grudka błota. Owóż tedy wójt La Queue spostrzegłszy, że ten hołysz Delfin, chłopak okrętowy z „Wieloryba”, poważa się kręcić koło jego córki, uznał za stosowne obdarzyć dwoma potężnymi policzkami Margosię, aby jej dać w ten prosty sposób do poznania, że nigdy żoną żadnego z Maheów nie będzie. Rozwścieczona tem Margot dała się słyszeć z groźbą, że wychlaszcze po papie Delfina, jeżeli nie przestanie się włóczyć za jej spódnicą. Przykra to była rzecz dla młodego junaka na którego Margot nie rzuciła dotąd okiem ni razu. Margot, mocna w swoim szesnastym roku życia jak chłop a piękna jak panienka, miała sławę osoby, lubiącej drugimi pomiatać, osobliwie zaś przykrej dla wielbicieli. Wziąwszy więc na uwagę: historię dwu policzków starego La Queue, zuchwalstwo Delfina i gniew Margosi, nietrudno sobie wyobrazić, jakie z tak wybornego materiału komeraże bez końca potrafiono wysnuć w Coqueville.

Swoją drogą niejednen utrzymywał, że Margot nie była w gruncie rzeczy wcale tak bardzo oburzoną kręceniem się Delfina koło niej. Delfin był to mały blondynek o złocistej cerze, którą mu nadały skwary morskie, z bujną, kędzierzawą czupryną, pchającą mu się zewsząd w oczy i spadającą obficie na kark. Niepospolicie przytem silny, mimo swej drobnej budowy był w stanie wygrzmocić trzy razy od siebie cięższego. Opowiadano, że się od czasu do czasu wymyka na noc do Grandportu i hula do rana na zabój. Zrobiło mu to u dziewcząt opinię strasznego lamparta; szeptały o nim, że sobie „używa”, zamykając w tem nieokreślonym wyrażeniu tysiące rozkoszy nieznanych.

Ile razy Margosi przyszło mówić o Delfinie, unosiła się namiętnie. On zaś uśmiechał się tylko chytrze, świdrując ją swemi małemi, błyszczącymi oczkami, zupełnie obojętny na jej pogardę i gniew. Lubił się za to włóczyć popod jej drzwi, lub przekradając się krzakami, godziny całe czatował na

dziewczyne, cierpliwy i zwinny jak kot, gdy się czai na wróbla. Skoro go w takich razach nagle za swemi plecami spostrzegła, tak czasem blisko, że czuła na sobie ciepło jego tchu, nie uciekał, tylko przybierał wyraz takiej czułości i smutku, że z pierśią zapartą, obrona z całej pewności siebie, zapominała gniewów, które odzywały się dopiero, gdy chłopiec był daleko. Gdyby ją ojciec mógł być widzieć w takiej chwili, nie omieszkałby jej z pewnością wlepić nowej pary policzków. Podobny stan rzeczy nie mógł trwać długo. Lecz mimo hałaśliwych przysiąg Margosi, że Delfina nie minie z jej ręki kara, żeby tam nie wiedzieć co!... – nie umiała jakoś wyzyskać okazji po temu, kiedy go miała przed sobą, i ludzie zaczęli sobie z niej przekpiwać, że lepiejby nie powtarzała tak często czczych pogrózek, bo w końcu jej samej dostaną się od starego cięgi.

Nikom naturalnie nie powstało w głowie, by miała kiedykolwiek za niego wyjść. Historię tę uważano po prostu za figle kokietki. Co się zaś tyczy małżeństwa między największym golcem z Mahéów, chłopakiem nie posiadającym na wyprawę sześciu całych koszul, a wójtowską córką, najbogatszą dziedziczką z Floche'ów, związek taki wydałby się wszystkim czemś potwornem. Złe języki nie wzdrygały się przebąkiwać, że chociażby dziewczyna niewiedzieć jak daleko z tym hultajem zaszła, to i tak żoną jego nigdy nie będzie. Posażna dziewczucha może się bawić, jak jej się podoba, lecz jeżeli ma głowę nie od parady, nie popełni głupstwa. Koniec końców całe Coqueville zajmowało się awanturą, rozciekawione, jaki też wszystko obrót weźmie. Czy Delfin dostanie, wedle obietnicy, dwa razy w papę? czy też Margoś da mu się w końcu wycalować w jakimś ustroniu wśród skał? – Rzecz warta widzenia, – a ponieważ jedni byli za pyskobiciem, inni za całusami, więc Coqueville trzęsło się, jakby wybuchała rewolucja.

Dwu tylko ludzi w całej wsi nie należało ani do partyi Mahéów ani do obozu Floche'ów: proboszcz i strażnik polowy. Strażnik, człek suchy, wysoki, którego nazwisko nikomu nie było znane, ale którego przezwano „cesarskim”, dlatego pewno, że służył pod Karolem X. nie pełnił w gruncie rzeczy żadnej seryo strażniczej służby w gminie, na którą składały się puste wydmy i nagie skaliska. Podprefekt, darzący go swoją protekcją, stworzył mu tę synekurkę, dzięki której spożywał chleb powszedni niedużej zresztą pensyjki. Co się tyczy księdza Radiguet, był to jeden z tych prostodusznych kapłanów, których biskupi, aby ich stracić z oczu, zaprzepaszczają w pierwszej lepszej dziurze zapadłej. Schłopiawszy napowrót, wiódł on tu żywot poczciwego człowieka, grzebiąc w niewielkim ogródku, gwałtem wymęczonym na skałach, pałac fajkę i przypatrując się rosnącej sałacie. Jedyny błąd księżula stanowiło, że był smakoszem, w czym się jednak nie mógł zbyt wyrafinować, ograniczony do dogadzania podniebieniu makrelami, zapijanemi jabłecznikiem, obficie czasem – powiedzmy w sekrecie – niżeli organizm jego znieść był w stanie. Zresztą – prawdziwy ojciec swych parafian, którzy też przychodzili od czasu do czasu do kościoła, aby mu sprawić przyjemność.

Zdoławszy się przez czas długi utrzymać na stanowisku neutralnem, proboszcz i polowy musieli się jednak w końcu oświadczyć za jedną z zwaśnionych partyi. Obecnie „cesarski” trzymał z Mahéami, podczas gdy proboszcz Radiguet stanął po stronie Floche'ów. Stąd komplikacje. Ponieważ cesarskiemu, który żył sobie od rana do wieczora jak pan, mając za całe zajęcie liczenie statków, wypływających codziennie z Grandportu, znudziła się w końcu ta robota, więc wziął się do sprawowania policyi we wsi. Zostawszy stronnikiem Mahéów przez tajemny instykt konserwatyizmu społecznego przyznał rację Fouasseowi w sporze z Tupainem, starał się przyłapać Rougetową na gorącym uczynku z Brisemottem, nadewszystko jednak przymykał oczy, kiedy ujrzał Delfina, wślizgującego się na podwórko Margosi. Najgorszem z wszystkiego było, że postępowanie to pociągało za sobą srogie kłótnie między „cesarskim” a jego naturalnym zwierzchnikiem, wójtem La Queue. Szanując dyscyplinę, strażnik polowy słuchał cierpliwie gderania wójta, lecz czynił potem, jak sam chciał, następstwem zaś tego była dezorganizacja władz publicznych w Coqueville. Nie można było przejść koło budy, zdobnej napisem: „Wójtostwo”, aby się nie usłyszało zgiełku kłótni. Z drugiej strony proboszcz Radiguet, sojusznik tryumfujących Floche'ów, którzy go obdarzali okazami najwyborowszych makrel, przymykał oczy na błąd Rougetowej, Margosi zaś groził ogniem

piekielnym, jeżeli się pozwoli Delfinowi dotknąć choćby koniuszkiem palca. Summa summarum była to kompletna anarchia: bunt armii przeciw władzom cywilnym, kler idący ręką w rękę z występłą burżuazją, cały naród, liczący głów sto osiemdziesiąt, pożerający sam siebie w zapadłej dziurze nadbrzeżnej, w obliczu niezmiernego morza i niebios bez końca.

Jeden tylko Delfin w całym, do góry nogami wywróconym Coqueville, chodził z twarzą jasną od uśmiechu zakochanego chłopca, co drwił z wszystkiego, byle Margot była za nim. Jak na króliki – na wszystkie strony zastawiał na nią sidła. Bardzo jednak roztropny, mimo swojej narwanej miny, pragnął się z nią połączyć u ołtarza, by nadać swemu szczęściu stygmat dozgonnej trwałości.

I otóż pewnego wieczora przysłała ta chwila wreszcie, że Margoś, zgodnie z obietnicą, zamierzyła się na niego ręką, zaskoczona przezeń na ścieżce, gdzie na nią czatował. W tej samej sekundzie jednak skraśniała po same białka, gdyż chłopiec, nie czekając policzka, jakim groziła mu ręka, pochwycił ją i ucałował ogniście.

I stała drżąca a on szeptał:

– Kocham cię... Chcesz mnie?

– Nigdy! – krzyknęła oburzona.

Wzruszywszy ramionami odrzekł z twarzą spokojną i rzewną:

– Nie mów tak... Będzie nam bardzo dobrze z sobą. Obaczysz, co za szczęście.

II

Tej niedzieli pogoda była straszliwa, jeden z tych nagłych huraganów wrześnieowych, co wzniesają okropne burze nad skalistymi stokami Grandportu. Na schyłku dnia Coqueville ujrzało wśród fal okręt w rozpaczliwym położeniu, pędzony wichrem. Lecz mrok coraz grubszy nie pozwalał nawet myśleć o niesieniu pomocy. Od wczoraj „Wieloryb” i „Zefir” stały na kotwicy w małym naturalnym porcie po lewej stronie wybrzeża, między dwoma ławicami granitu. Ani La Queue ani Rouget nie mieli odwagi wypłynąć. Co najgorsza pan Mouchel, reprezentant wdowy Dufeu, raczył się jeszcze w sobotę osobiście pofatygować do wsi, z przyrzeczeniem osobnego wynagrodzenia, jeżeli sobie rybacy zadadzą trud seryo, w halach bowiem zabrakło świeżych ryb, skarżono się. Toteż w niedzielę wieczorem, kładąc się spać przy szumie nawałnicy, siekającej wioskę, Coqueville zrzędziło gniewnie i mieszkańcy mieli humor popsuty. Wiecznie jedna i ta sama historia: obstalunki się sypią, kiedy morze nie chce dać ryb. Cała wieś przytem rozprawiała o owym statku, który widziano gnany przez huragan, a który w tej chwili spoczywa pewno na dnie fal.

Nazajutrz, w poniedziałek, niebo jeszcze było zachmurzone, morze, burzliwe ciągle, wrzało, nie mogąc się uspokoić, chociaż wiatr znacznie osłabł. Nareszcie ucichł zupełnie, lecz fale trwały dalej w rozkołysaniu wściekłym. Nie zważając na to, oba statki wypłynęły zaraz z południa na morze. Około czwartej „Zefir” powrócił, nic nie złowiwszy. Podczas gdy obaj majtkowie, Tupain i Brisemotte, przywiązywali go w małym porcie, La Queue, wściekły, groził oceanowi z wybrzeża pięścią. Pan Mouchel tymczasem czekał. Margot z połową mieszkańców wioski stała na brzegu, przypatrując się ostatnim spazmom burzy, pełna gniewu, równie jak ojciec, na niebo i morze.

– A gdzież „Wieloryb”? – spytał ktoś.

– Tam za cyplem – odparł La Queue. – Jeżeli ten szkielec zdoła i tym razem dobić się do przystani, będzie to istny cud.

Wzgarda dla łodzi wrogów dławiała go jak zawsze. Po chwili dodał, że to jednak prawie dla takich Mahéów narażać skórę w podobny czas. Kiedy ktoś groszem nie śmierdzi, wszystko mu jedno, czy go czart weźmie, czy nie. Co się jego tyczy, woli nie dotrzymać słowa panu Mouchel, niżli nadaremnie nadstawiać karku.

Конец ознакомительного фрагмента.

Текст предоставлен ООО «ЛитРес».

Прочитайте эту книгу целиком, [купив полную легальную версию](#) на ЛитРес.

Безопасно оплатить книгу можно банковской картой Visa, MasterCard, Maestro, со счета мобильного телефона, с платежного терминала, в салоне МТС или Связной, через PayPal, WebMoney, Яндекс.Деньги, QIWI Кошелек, бонусными картами или другим удобным Вам способом.